

Bogdan Banasiak

Michel Foucault – mikrofizyka władzy

...mózg człowieka jest na pewno straszniejszą bronią niż lwie pazury.
Arthur Schopenhauer

Szeroki pień na drewnianym podeście. Człowiek ze skrępowanymi z tyłu dłońmi kroczy po schodach. Klęka. Wprawne ręce rozchylają kołnierzyk na jego szyi. Pochyla głowę. Zebrany tłum wstrzymuje oddech. Powietrze przecina ostry topór albo miecz prowadzony pewnym ruchem barczystego osobnika z twarzą zakrytą czarną maską.

Szorstki węzeł grubego sznura oplata delikatną tkankę szyi. Jeszcze gest zadziergnięcia go, by dobrze przylegał. Silne kopnięcie podnóżka albo uchylenie zapadni.

Długie języki ognia szybko pochłaniają suche szczapy. Szarpiąca się bezsilnie sylwetka jest coraz mniej widoczna spoza rosnących płomieni i gęstniejącego dymu. Swąd palącego się ciała. Może nieludzki krzyk.

Brzęk łańcuchów i skrzypienie drewnianych machin z wplecionym w nie czymś, co mogłoby przypominać ludzki kształt. I jęki wyraźnie zbiegające się z wprawianiem urządzeń w ruch.

Brzęk zamykanej kraty, zgrzyt klucza i szczęk zasuwanego rygła. Zwielokrotniony echem pustych korytarzy odgłos kroków. Miarowy stukot dziesiątków par butów – spacerujący po dziedzińcu ludzie ze spuszczoneymi głowami.

Może jeszcze wypowiedziane podniosłym głosem słowo „winien”; czarna przepaska zawiązana na oczach; pluton egzekucyjny i równa palba; krzesło elektryczne.

Obrazy te wciąż jeszcze nawiedzają naszą pamięć. Niektóre codzienność. I nie pozostawiają żadnych wątpliwości. Albowiem wszystko jest jasne. Bo jakże można się mylić, gdy wszystko jest widoczne jak na dłoni. Uporządkowany, czytelny świat. Świat podzielony. Wyraźna cezura, linia demarkacyjna. Oni i my. Wiemy doskonale, kogo obarczyć winą za całą tę przemoc bez granic. I kto – obiekt tego gwałtu – jest niewinny. Kto – uzbrojony po zęby – może spać spokojnie. I kto do obrony ma tylko

własne dłonie. Kaci i ofiary. Wiemy doskonale, kto ją posiada, a kto jest jej pozbawiony. Kto ją sprawuje, a kto jej doświadcza.

Władza. Przystrojona w insygnia, atrybuty, widome znaki, symbole, znamiona. Blask, kolor, wystawność. Rytuały, obrzędy, ceremonie. Barwy i uniformy. Narzędzia, instancje, instytucje. Wyspecjalizowane agendy. Demonstracja bezmiernej przemocy, niezwyciężonej siły. Jawność, manifestacja, wystawienie na pokaz.

I wszystko jest jasne. I nie mamy żadnych wątpliwości. Władza – widzialny obiekt naszej nienawiści.

Ale oto pojawia się naraz ktoś, kto – na przekór oczywistym obrazom, jakie oferują się naszym oczom, wbrew utartym przyzwyczajeniom (a wiadomo, że na niczym nie jest równie łatwo grać – i wygrywać – jak na społecznie utrwalonych, zaprawionych inercją schematach i stereotypach) – wypowiada sądy zgoła odmienne, sądy nieoczywiste, sądy niesłychane. Niesłychane, bo burzące nasze poczucie stałości i spokoju, burzące pewność, z jaką poruszamy się i myślimy w świecie, w którym wyznaczyliśmy sobie – zawsze opacznie – punkty stałości, miary orientacji, drogowskazy przekonujące o tym, gdzie wróg, a gdzie przyjaciel.

Władzę bowiem – myślący w ramach opcji antropologicznej czy społecznej – zwykliśmy traktować w kategoriach własności klasy, która ją zdobyła, własności państwa, w którego aparacie byłaby zlokalizowana, zwykliśmy ją widzieć jako podporządkowaną sposobowi produkcji i całej infrastrukturze, oddziałującą poprzez represję i ideologię, i mającą prawo za swój wyraz¹. Słowem, zwykliśmy ją substancjalizować, gdy tymczasem władza „nie podlega posiadaniu jak rzecz, nie daje się przekazać jak własność; funkcjonuje jak maszyna”². Należałoby ją zatem widzieć jako „wielość stosunków sił immanentnie tkwiących w dziedzinie, w której zachodzą i się organizują; grę ustawicznych walk i starć, która je odmienia, wzmacnia, przestawia; wsparcia, jakich te stosunki wzajemnie sobie udzielają aż po utworzenie łańcucha albo systemu, czy też, na odwrót, przesunięcia, sprzeczności jedne od drugich oddzielające; w końcu owocne strategie, których ogólny zarys lub instytucjonalna

¹ Por. G. Deleuze, *Ecrivain non: un nouveau cartographe*, „Critique” 1975, nr 343 (gl. s. 1207-1212).

² M. Foucault, *Surveiller et punir. Naissance de la prison*, Gallimard, Paris 1975.

krystalizacja przyoblekają się w ciało aparatów państwowych, formuł prawnych, społecznych hegemonii”³.

Nigdy bowiem w historii nie badano mechanizmów władzy – co najwyżej tych, którzy mieliby ją sprawować. Stąd też posiadana przez nas wiedza o niej sprowadza się do postaci anegdoty: o królach, generałach⁴. Być może źródła tego stanu rzeczy rozpoznał w jakiejś mierze inny, według Foucaulta, filozof władzy, Nietzsche – w swych analizach relacji pomiędzy państwem a filozofem (*Schopenhauer jako wychowawca*). Reszta to już sprawa autora *Surveiller et punir*.

W drugiej połowie XVIII wieku dobiega końca epoka tortur, w której to odkryto, że człowiek posiada ciało, ciało niewidoczne dotąd w półboskim blasku duszy, wspaniały obiekt dla wyspecjalizowanych praktyk zadawania cierpienia, dla sprawnych, zawodowych oprawców prześcigających się w wynajdywaniu przemysłnych urządzeń, formułowaniu starannie skodyfikowanych technik, pozwalających doskonalić sztukę ćwiartowania, rozczłonkowywania, rozbierania. Stosy i szafoty – te najbardziej widome znamiona wszechwładzy – których gęsty las pokrywał Europę ubiegłego stulecia, ustępują z wolna miejsca okazałym twierdzom wznoszonym często w centrum miast.

Męki, stymulowanie cierpienia, owa rozrzutna – bo trwoniąca, bezproduktywnie marnotrawiąca siły skazanych – praktyka karania musi ulec wysubtelnieniu. Mnożą się więzienia, domy poprawy, korekcji, edukacji, domy pracy, szpitale, przytułki i temu podobne. Bowiem w epoce narodzin burżuazji nie można sobie pozwolić na zbytek rozrzutności – masy i ich siły należy spożytkować.

Odpowiedzią na ten wymóg staje się niepokojący wynalazek Benthama. Panopticon, niezwykła budowla ustanawiająca relacje władzy w oparciu o samą tylko optykę i architekturę. Maszyna doświadczalna, laboratorium władzy, wykres idealnej formy jej mechanizmu. Konstrukcja umożliwiająca jej kapilarne, automatyczne, permanentne funkcjonowanie.

Chodzi bowiem o to, by zwiększyć posłuszeństwo i uległość przy jednoczesnym wzmaganiu ich użyteczności i produktywności – a Panopticon „pozwała

³ M. Foucault, *Histoire de la sexualité*, t. 1: *La volonté de savoir*, Gallimard, Paris 1976, s. 121-122.

⁴ *Jeux du pouvoir* (rozmowa z M. Foucaultem) [w:] F. Chatelet i in., *Politiques de la philosophie*, Grasset, Paris 1976, s. 171 (przekład w niniejszym numerze).

interweniować w dowolnej chwili i wywiera stałą presję, zanim jeszcze popełnione zostaną błędy, pomyłki czy zbrodnie”, pozwala się zastosować, zaadaptować do dowolnej instytucji, do każdej funkcji, którą przenika, z którą się wewnętrznie integruje. To już nie zadawane na ślepo ciosy, ale przemyślane spożytkowanie. „Dyscyplina jest odwrotną stroną demokracji”⁵.

Panopticon – maszyna umieszczająca dowolną jednostkę w polu widzialności, podczas gdy nie można zweryfikować tego, czy istnieje nadzorca – to pułapka pozwalająca, by nadzór dokonywał się niemal sam i to bezustannie, i to bez konieczności faktycznej ciągłej lustracji. Pułapka o tyle niezwykła i podstępna, że schwyta w nią jednostka – dzięki grze spojrzeń, widzialności i niewidzialności – „staje się zasadą ujarzmiania samej siebie”.

Panopticon to zatem nie zwyczajny wymysł prawnika-filozofa, rozwiązanie problemu technicznego, rojenie o postaci architektonicznie doskonałego więzienia (mimo tak wielu i tak różnorodnych jego realizacji). To modelowa, perfekcyjna postać pewnego typu władzy, władzy, która, aby oddziaływać, „winna dobrać sobie instrument permanentnego, kompletnego, wszechobecnego, zdolnego wszystko uwidocznic nadzoru, pod warunkiem jednak, że sama pozostanie niewidzialna. Winna być niczym spojrzenie pozbawione twarzy, które przekształca cały organizm społeczny w pole percepcji: tysiące rozmieszczonych wszędzie oczu, ruchoma i zawsze czujna uwaga, długa zhierarchizowana siatka...”. Władza uzupełniona policją, aparatem, który – dzięki wywiadowcom, szpiclom i donosicielom albo po prostu prawym obywatelom – staje się współrozciągły z całym organizmem społecznym. Rozpuszczony w społeczeństwo i w społeczeństwie staje się zdolny sięgnąć wszędzie i ogarnąć wszystko, wszystkim rozdając podwójne role – nadzorującego i nadzorowanego zarazem.

Panoptyzm to postać społeczeństwa oglądu i nadzoru, społeczeństwa dyscyplinarnego. Naszego społeczeństwa. „Dyscyplina” nie może utożsamiać się ani z instytucją, ani z aparatem. Jest ona typem władzy, wprowadzoną w życie modalnością, która zawiera cały zespół instrumentów, technik, metod, poziomów zastosowania,

⁵ Rozmowa z M. Foucaultem, „Les Nouvelles Littéraires”, 17 marca 1975, s. 3.

celów; jest „fizyką” albo też „anatomią” władzy, „technologią”. Umożliwia i zapewnia „nieskończenie drobiazgową dystrybucję stosunków władzy”.

To już nie binarny, masywny podział na tych, którzy ją „przywłaszczyli” – władców, i tych, którzy jej „nie posiadają” – poddanych. To rozproszenie wielorakich dyspozycji, manewrów, technik, taktyk, sposobów funkcjonowania, to sieć relacji, zespół pozycji strategicznych, technologii, całość wielorakich, złożonych, mnogich, wielopoziomowych linii, sił, zależności, które przebiegają organizm społeczny z góry w dół, ale też z dołu do góry, i na boki – we wszystkich kierunkach. Władza jest „widzialna i niewidzialna, obecna i ukryta, wszędobylska”⁶.

Ale Foucault skłania nas wyraźnie ku temu, abyśmy – odrzuciwszy odruchową tendencję do substancjalizowania władzy – zrezygnowali z jeszcze jednego – i to bodaj bardziej rozpowszechnionego i głębiej zakorzenionego – mitu. „Być może należy także wyrzec się całej tradycji, która pozwala sądzić, że wiedzę można osiąść tylko tam, gdzie zawieszono zostają relacje władzy i że wiedza może się rozwijać jedynie poza jej nakazami, wymogami, korzyściami. Być może należy wyrzec się wiary, że władza ogłupia i że, na odwrót, wyrzeczenie się władzy jest jednym z warunków, wobec których można stać się uczonym. Trzeba raczej uznać, że władza wytwarza wiedzę (i to nie tylko faworyzując ją, skoro ta jej służy, czy też stosując, skoro jest użyteczna); że władza i wiedza wzajem się bezpośrednio implikują; że nie istnieje relacja władzy bez korelatywnego ukonstytuowania pola wiedzy, ani też wiedza, która nie zakłada i nie tworzy jednocześnie relacji władzy”.

I całość dzieła Foucaultowskiego jest niczym innym, jak tylko bezustannym, upartym ujawnianiem figur i aspektów tego całkiem niepojętego mariażu, mariażu władzy i wiedzy. Jest czujną eksploatacją postaci, jakie przybiera „rozum kolonizacyjny”, przedzierzgając się w wiedzę psychologiczną (*Maladie mentale et psychologie*, 1954), psychiatryczną (*Historia szaleństwa w dobie klasycyzmu*, 1961), medyczną (*Naissance de la clinique. Une archéologie du regard medical*, 1963), medyczno-prawną (*Moi, Pierre Ririère...*, 1973), kryminologiczną i karno-prawną (*Surveiller et punir. Naissance de la prison*, 1975).

⁶ *Intelektualiści i władza* (rozmowa pomiędzy M. Foucaultem i G. Deleuze'em), przeł. S. Magala, „Miesięcznik Literacki” 1985, nr 10-11, s. 177.

Bada z wielu stron i na przeróżne sposoby dyskurs, ujawniając rządzącą nim *epistème* i zapowiadając „śmierć człowieka” (*Les mots et les choses. Une archéologie des sciences humaines*, 1966), odkrywając kontrolę i selekcję, jakiej wypowiedź podlega (*L'ordre du discours*, 1971), objawiając „maszyny językowe” pozwalające językowi znaczyć (*Raymond Roussel*, 1963), wreszcie tworząc metodę pozytywną oczyszczającą nasze myślenie i odsłaniającą podstawy, na jakich się ono wspiera (*Archéologie du savoir*, 1969; polski przekład 1977).

Eksploatuje rejony seksualizmu (tym razem nie w kategoriach represji i uwięzienia, lecz produkcji i intensyfikacji) pokazując strategie mikrowładz (wiedzy) obejmujące kobietę, dziecko, parę i perwersję (*Histoire de la sexualité*, t. 1: *La volonté de savoir*, 1976), tworzy genealogię współczesnych postaci pożądania i zachowań seksualnych, badając decydującą o kształcie seksualizmu wiedzę oraz władzę rozstrzygającą o postaci praktyk seksualnych (t. 2: *L'Usage des plaisirs*; t. 3: *Le Souci de soi*, 1984).

Obejmuje też pracę poświęconą odkryciu rzeczywistych stymulatorów sławnych *lettres de cachet* (*Le desordre des familles. Lettres de cachet des Archives de la Bastille*, 1982, wraz z A. Farge), publikację pamiętników hermafrodyty (*Herculin Barbin dite Alexine B.*, 1978), wykłady o mechanizmach władzy (*Microphysique du pouvoir*, 1977, we Włoszech) oraz pracę o malarstwie René Magritte'a (*Ceci n'est pas une pipe*, 1973), by nie wspomnieć o niezliczonych artykułach, zapisach wykładów, w tym także o jednym wydaniu nieoficjalnym (*Le Pouvoir et la Norme*), pracach zbiorowych (*C'est demain la veille*, 1973; *Les Machines à guérir*, 1976), szkicach krytyczno-literackich, polemikach, recenzjach, wywiadach.

W ten sposób Michel Foucault każdym swoim dziełem dobitnie zaświadcza o trafności przekonania, które potwierdza cała niemal współczesna humanistyka francuska od Bataille'a i Klossowskiego aż po Deleuze'a i Derridę, przekonania, które tak lapidarnie sformułował Lyotard: „Rozum i władza to jedno”⁷. Prawda – a pomni nauk Nietzscheańskich wiemy, że wiedza to nic innego, jak wola czy pragnienie prawdy – nie jest bowiem dlań ufundowaną przez Arystotelesa zgodnością myśli i przedmiotu (ani nawet – równie metafizyczną – heideggerowską *aletheia*). To przymus, niezbywalne

⁷ J.-F. Lyotard, *Dérive à partir de Marx et Freud*, 10/18, Paris 1973, s. 13.

ograniczenie skłaniające myśl do przybierania określonego kształtu, to coś, co z góry przesądza o tym, jak ujmujemy siebie i innych – wypowiedzi bowiem nie mogą być ujmowane poza funkcjami, jakie pełnią, poza układami, w jakich występują. To zatem reguły, zgodnie z którymi w danym czasie coś ujmowane jest i waloryzowane właśnie jako prawda. „Wiedzy – użytecznej czy odpornej wobec władzy – nie wytwarzałyby aktywność poznającego podmiotu; formy i możliwe dziedziny poznania określa władza-wiedza, przenikające ją i konstytuujące procesy i walki”. Słowem, Foucaultowska genealogia władzy i archeologia wiedzy tworzone są jednym i tym samym gestem. Stanowią jedno bezustannie ponawiane i dopełniane przedsięwzięcie. Składają się na mikrofizykę władzy ujawniającą nierozłączność, tożsamość obu figur. Wiedza jest władzą, i odwrotnie.

I potrzebna jest opcja antyhumanizmu, opcja doświadczająca „śmierci człowieka” i która być może tylko dzięki temu właśnie doświadczeniu jest w stanie wyjaśniać – aby zrozumieć to osobliwe sformułowanie tytułu – *Surveiller et punir*. Nadzorować i karać. Forma bezokolicznikowa – znów pobrzmiewać tu będą echa Nietzscheańskich odkryć w dziedzinie gramatyki, ta myśl, która przychodzi, gdy ona „chce” – forma akcentująca samo dzianie się, stawanie, czynność, zanim jeszcze pod naciskiem naszych przyzwyczajzeń (gramatycznych właśnie) przypisana zostanie jakiemukolwiek (choćby hipotetycznemu) podmiotowi, zanim dokona się rozdział na działanie (stronę czynną) albo doznanie (stronę bierną), zanim znów ze zwodną oczywistością odpowiemy sobie – my, dzieci Kartezjusza – na pytanie „kto”? nie zadawszy go sobie wprzód.

Nie jesteśmy zatem niewinni. Także ci – a może szczególnie oni – którzy zawsze uważali się za najdalszych od jakiegokolwiek władzy, ci, którzy mienili się poszukiwaczami czy budowniczymi prawdy. Nie możemy już zaprzeczyć, że i na nas kładzie się mroczny cień. Nie możemy już z całym spokojem obarczyć odpowiedzialnością innych. Czystość i niewinność musi pozostać przywilejem tych ulotnych istot, zwanych aniołami. Musimy dostrzec, że – jak mówi Delacampagne – „wchodzimy w epokę, w której robienie błędów ortograficznych i palenie haszyszu będzie uważane nie tylko za dewiację, ale za chorobę”⁸. Że już w nią wkroczyliśmy – w

⁸ Ch. Delacampagne, *Figures de l'oppression*, P.U.F., Paris 1977, s. 23.

epokę, w której wszelkiego rodzaju sektoryzacje, prewencje, pracownicy socjalni i społeczni pukają do drzwi każdego domu. I musimy przyznać się do własnego w tym udziału, do tego, że żyjemy pod presją Normy, Normalności, Zakazu i sami jesteśmy ich rzecznikami, że sami jesteśmy nośnikami władzy i zasadą ujarzmania samych siebie. Oprawcy i ofiary w jednej osobie. „Nadzorujący ciągle nadzorowani”.

I tylko nie chcemy się do tego przyznać. Nie mamy dość odwagi, by powiedzieć to sobie prosto w oczy. Eksploatując niespożyte mechanizmy racjonalizacji i samoułudy, uznajemy nieodmiennie, że „piekło to inni”, i tylko oni. Może ten brak ostrożności widzenia jest nam potrzebny do życia jak powietrze. Może potrafimy żyć jedynie w świecie podzielonym, uporządkowanym, gdzie każdy ma stałe miejsce i rolę. Może nasze miasto musi być otoczone pustynią zamieszkaną przez barbarzyńców: szaleniec, przestępca, kobieta, dziecko, dziki, Żyd, wróg – Inny, który, w razie potrzeby, odegra dla nas rolę – jakkolwiek pojętego – „kozła ofiarnego”, by tym samym utwierdzić nas w naszych własnych racjach, zaświadczyć o naszym świątym rozumie, naszej prawdzie, czystości, tożsamości.

A może – jak widział to Nietzsche – naszym udziałem jest świadomość niewolnicza. Może chcemy być wyzyskiwani i ciemieni, i chodzi tu – jak chce Deleuze – o ową „perwersję pożądania stadnego”⁹.

A może jeszcze inaczej. Może potworne i przeklęte dzieło markiza de Sade to po prostu przypowieść o ludzkiej kondycji, bezkompromisowe wyznanie – albo raczej przyznanie – kim i jacy jesteśmy (i dlatego właśnie przeklęte). Wyznanie nazbyt wyraźnie sformułowane, aby mogło spotkać się z akceptacją. I być może ta władza, ta przemoc jest – jak twierdzi Bataille – tak nieodłączna życiu jak śmierć.

I chyba pozostanie rzeczą „nielicznych jasnowzrocznych umysłów” – do których, jako jednego z pierwszych, trzeba zaliczyć Michela Foucaulta – odkrywanie tego, co niejawne, tego, co sprzeczne z naszymi najbardziej oczywistymi przekonaniem, tego, co niesłychane.

„Cóż dziwnego, że więzienie jest podobne do fabryk, szkół, koszar, szpitali, które ze swej strony przypominają więzienia”? Cóż dziwnego, że policjant jest podobny do lekarza, nauczyciela, psychiatry... Do mnie.

⁹ G. Deleuze, F. Guattari, *Capitalisme et schizophrénie*, t. 1: *L'Anti-Œdipe*, Minuit, Paris 1972, s. 37.

Nie mamy wyjścia – wszyscy „jesteśmy kółkiem tej maszyny”. Pozostaje nam tylko zacząć się uczyć nowej gramatyki – on nadzorować, ty nadzorować, ja...

Wszystkie dzieła Michela Foucaulta ujawniające jego nieposkromioną pasję demistyfikatora tworzącego i wyjaśniającego ontologię współczesności, ontologię nas samych¹⁰, niosą ze sobą jeszcze jeden niezbywalny aspekt. Są mową nieprzezroczystą. Pasjonującą lekturą i opowieścią pisaną niezwykle sprawnym, barwnym, choć niekiedy trudnym i wieloznacznym językiem, któremu żadną miarą nie można odmówić waloru autentycznej literackości.

Jednak sam autor zupełnie gdzie indziej sytuuje własne książki i samego siebie. „Użytkowanie książki związane jest ściśle z przyjemnością, jakiej może ona dostarczyć, ale tego, co robię, nie traktuję wcale jako dzieła, i razi mnie chęć nazwania siebie pisarzem. Jestem sprzedawcą narzędzi, fabrykantem receptur, indykatorem celów, kartografem, kreślaczem planów, handlarzem bronią...”¹¹. I jeszcze: „Wszystkie moje książki (...) są, jeśli można się tak wyrazić, małymi skrzynkami z narzędziami. Jeśli ludzie zechcą je otworzyć, posłużyć się jakimś zdaniem, jakąś myślą, analizą jak śrubokrętem czy dłutem w celu dokonania krótkiego spięcia, zdyskwalifikowania systemów władzy, nie wyłączając tych, w których me książki wyszły..., dobrze, tym lepiej”¹².

A jednak Michel Foucault, mimo pewnej niechęci do pisania, mimo wyraźnego opowiedzenia się po stronie rzeczywistości walki (o czym między innymi świadczy dobitnie jego działalność w okresie pamiętnego maja ‘68, utworzenie G.I.P. – Zespołu Informacji o Więzieniach, i współdziałanie w ukonstytuowaniu pisma „Libération”), decyduje się pisać – jakby za podszeptem Julietty Sade’a mówiącej: „Spróbuj zbrodni moralnej, jaką osiąga się na piśmie”. Zbrodni pisania, która trwa, mimo że życie dobiegło końca.

¹⁰ Zob. M. Foucault, *Un cours inédit*, „Magazine Littéraire” nr 207, maj 1984, s. 39.

¹¹ Rozmowa z M. Foucaultem, „Les Nouvelles Littéraires”, op. cit.

¹² *Des supplices aux cellules* (rozmowa z M. Foucaultem), „Le Monde”, 21 lutego 1975, s. 16.